

Polish emigrants on Iceland / Polscy emigranci na Islandii

Gdy odbierałem Bruna z lotniska w Reykjavíku, młodzieniec wyszeptał mi do ucha: „tata, tu pracują sami Polacy. Stewardessa w samolocie była z Polski, pilot z Polski, obsługa naziemna z Polski.”

W niemalże wszystkich restauracjach, na stacjach benzynowych, spotykamy mnóstwo młodych ludzi z Polski.





W Blue Lagoon podchodzi do nas młoda dziewczyna. Jest ratownikiem. Opowiada mi historię. Pochodzi z Krakowa, gdzie skończyła z wyróżnieniem studia wyższe. Mieszkała z chłopakiem na Woli Justowskiej. Oboje pracowali w korporacji na obrzeżach Krakowa. W pracy spędzali kilkanaście godzin dziennie. Po opłaceniu kosztów skromnego życia nie zostawało im nic.

Po kilku latach postanowili uwolnić się od więziennego kieratu międzynarodowej korporacji. Spakowali plecaki i wyjechali do Islandii. Żyją skromnie, jak wszyscy ludzie na wyspie. Nie pracują w swoim wyuczonym fachu i zawodzie, ale stać ich na wynajęcie domu. Są po prostu ratownikami w Blue Lagoon - jednym z cudów natury. Mają przyzwoitego szefa, który sam lubi podróżować i elastycznie zarządza personelem pozwalając parze młodych ludzi na realizację swoich podróźniczych marzeń. Młodzi ludzie każdą wolną chwilę spędzają na odkrywaniu nowej ojczyzny, w której zamierzają zostać na zawsze. Chcą tu założyć rodzinę i tu żyć. Aga opowiada mi, że Islandia jest idealnie położona między Europą a Ameryką. To idealne miejsce wypadowe na Grenlandię, do Kanady i do USA. Oboje ze swoim chłopakiem wykluczają powrót do Polski. Panoszący się kościół narodowy, nieszanowanie praw kobiet przez rządzących, a z drugiej strony prymityw-



ny i pierwotny kapitalizm powodują, że Polska nie jest atrakcyjna dla wykształconych młodych ludzi, którzy od życia chcą czegoś więcej, niż tylko niedzielnej mszy i zakrapianego dużą ilością alkoholu grilla sobotniego.



Wysoko w górach poczułem, że samochód przestał pracować prawidłowo. Kierowanie nim sprawiało mi w trudnym terenie coraz więcej trudności. W nocy znalazłem telefon do najbliższego warsztatu oddalonego od nas trudnymi górskimi drogami ponad 200 km. Gdy zadzwoniłem i zapytałem po angielsku, czy w następny dzień wieczorem są w stanie sprawdzić, co się zepsuło, miły pan przywitał mnie po polsku: „Dzień dobry! Możemy mówić po polsku!”. W małym warsztacie samochodowym polski mechanik Marcin wślizgnął się pod przednie koła naszego samochodu. Po kilku chwilach wstał i przeżegnał się i zamienił kilka słów ze swoim szefem. Okazało się, że mamy uszkodzony układ kierowniczy. To poważna usterka, która spowodowała, że przez ostatnie 250 km nie miałem wspomagania kierownicy. Na wyboistej drodze czułem każdy kamień na swoich dłoniach. Pompa wspomagania zaczynała głośno wyć, ponieważ wyciekł cały olej do jej smarowania. Usterki nie da się naprawić! Trzeba wymienić całą skomplikowaną część, która zepsuła się (nasz wehikuł ma już 9 lat i wszystkie trasy które pokonał to były trudne i wymagające drogi przez Saharę (4x), przez góry Kaukazu (3x) przez Anatolię i wiele wypraw off road do Skandynawii. Gdy już zaczyna-



łem pozostawienie samochodu na Islandii i powrót do domu samolotem, by wrócić tu w sierpniu, gdy samochód będzie naprawiony, podszedł do mnie Marcin i powiedział: jutro jest weekend ale mimo to naprawimy Twój wehikuł. Jutro o 16 ta brakująca część przyleci do nas z Centrali Toyoty ... samolotem! Logistyka na Islandii jest rozwiązana po mistrzowsku. Mar-





cin przez cały piątek i sobotę leżał pod samochodem. W sobotnie popołudnie mogliśmy kontynuować naszą wyprawę. Wieczorem Marcin zaprosił nas do siebie do domu na podwieczorek. Mieszka z rodziną w Islandii od kilku lat. Jest młodym, zdolnym i pracowitym mechanikiem samochodowym. Jest szanowany w całej okolicy. Nie tylko jako mechanik, ale też jako uczynny i pomocny człowiek. Gdy jakiś samochód zakopie się w rzece, Marcin wsiada do potężnego samochodu, obniża ciśnienie w oponach do 1B i mknie na ratunek przez pola lawy z prędkością 100 km/h. Gdy płonie fabryka na wybrzeżu, wsiada z sąsiadami do wozu strażackiego i jadą kilkadziesiąt kilometrów ratować ludzi. Gdy nastaje sroga zima, wytyczają zimowy trakt do Askja. Gdy wieczorem do wioski przyjeżdża zespół muzyczny, Marcin robi dla lokalnej społeczności sesję zdjęciową. Marcin jest zapalonym fotografem. Wydał po angielsku album o regionie. Za kilka lat przejmie zapewne warsztat po swoim szefie. Pytam Marcina, czy myśli o powrocie do Polski. „Nie ma takiej opcji. Tu żyjemy i tu jest nasz dom. Nie chcę uczestniczyć w bieżących sporach i dyskusjach, które toczą się w Polsce. Chcę fotografować zorze polarne. W zimie chcę palić świece i żyć w magicznym miejscu.” – odpowiada.





Tutaj żyje się inaczej. W Polsce i na kontynencie większość ludzi ciągle goni za życiem, Islandczycy po prostu z niego korzystają. W Polsce pracuje się po godzinach, żeby i tak ostatecznie wylądować na kredycie, bez oszczędności. Islandczycy nawet na najniższych stanowiskach zarabiają godnie i tak też żyją. Są bardzo przywiązani do swojego kraju i otaczającej ich natury. Nie są politycznie podzieleni, tak jak Polacy. Szanują się nawzajem. Nikt nie traktuje tu gorzej kasjerki czy sprzątaczkę, tylko ze względu na zarobki i pozycję społeczną.



Islandczycy na wszystko mają czas. Slow life towarzyszy im przez całe życie. Żyją w zgodzie z porami roku i prognozami pogody. Nie ma się temu co dziwić. Jak przychodzi burza śnieżna, to wszystkie drogi są zamknięte. Prawie 100 proc. energii pozyskiwane jest ze źródeł odnawialnych. Prąd i ogrzewanie są o wiele tańsze niż w Polsce. Bez problemu można utrzymać przyjemną dwudziestokilkustopniową temperaturę w budynku. Zimą o wiele łatwiej przetrwać młodym ludziom w takich warunkach niż w wyziębionej kamienicy na Woli Justowskiej w Krakowie.





Nieprzeciętni i kochający przyrodę ludzie nigdy nie wrócą do Polski.

Marcin opowiada: w okolicy żyje 200 osób z czego 50 to Polacy. W całym kraju 10% ludności to Polacy!

